

Nagle poczuli się wolni

Z Piotrem Bojarskim rozmawia Jerzy Borowczyk

Rozmawiamy latem 2016 r. Za kilka miesięcy ukażą się dwie nowe Twoje książki. Jedna z nich poświęcona jest wydarzeniom 1956 r. w całej Polsce widzianym z dzisiejszej perspektywy. Dotarłeś do uczestników i świadków tamtych wydarzeń. Jaką rolę odgrywa w tym wszystkim poznański Czerwiec 1956?

Książka składać się będzie z dwunastu reportaży, w których centrum stoją konkretne osoby. Poprzez ich biografie opowiadam historię. Na poznański Czerwiec, na wydarzenia tamtego dnia, czy dwóch dni, patrzę przez pryzmat wspomnień lekarzy i pielęgniarek, przede wszystkim ze szpitala im. Raszei, który wtedy nosił nazwę Szpitala Miejskiego nr 2. Na Jeźyczach. Przywołuję wypowiedzi jedyne go chyba z żyjących dziś lekarzy, którzy w tamten czwartek ratowali ludzi – pana Henryka Karonia. Dziś to przeszło osiemdziesięcioletni mężczyzna. Ponadto rozmawiałem z Aleksandrą Banasiak, znaną dziś w Poznaniu uczestniczką tamtych wydarzeń, która jako pielęgniarka wynosiła rannych spod ostrzału na Kochanowskiego. Epizodycznie pojawiają się opowieści drugiej z pielęgniarek, Aleksandry Kozłowskiej. Korzystam również

ze spisanych wspomnień innych osób ze służby zdrowia, uczestniczących w wydarzeniach Czarnej Czwartku.

1. Heroizm lekarzy i sióstr

Co wynika z zestawienia nowych świadectw z relacjami już znanymi?

Przed wszystkim widać intensywność tamtych wydarzeń, wyczuwa się też ich potężny wpływ na świadomość uczestników. Ciągłe wyczuć można, jakie to było dla nich straszne. Jak wyniszczająco działało na ich psychikę.

Wydawałoby się, że lekarze i pielęgniarki są odporniejsi na widok krwi, ran, zabitych...

Tak teoretycznie być powinno, ale skala tragedii, jaka osiągnęła tamtego dnia mieszkańców Poznania, była ponad siły ówczesnego personelu szpitala. Paradoks polega na tym, że na 28 czerwca w grafiku jeżyckiego szpitala zaplanowano dzień bez operacji. Przewidywano zwykły obchód pacjentów, zaplanowane i rutynowe badania itd. Potem okazało się, że tego dnia wykonano najwięcej operacji ratujących życie w historii tego szpitala. Niestety, nie wszystkie były udane. Ludzie umierali często na korytarzu, czekając na zabieg. Mimo że lekarze operowali non stop.

Jak sobie radził szpitalny personel?

Sytuacja wszystkich przerosła. Trzeba jednak powiedzieć, że to, co robili lekarze i pielęgniarki 28 czerwca, było heroizmem w czystej postaci.

Jak Ci się rozmawiało z nimi o tym wszystkim po tylu latach?

Z trudem. Początkowo nie byłem pewien wyboru na moich świadków pracowników szpitala. Z biegiem czasu coraz bardziej się do tego przekonywałem. Szpital był bowiem wtedy niczym soczewka,

w której skupił się cały dramat. 28 czerwca od godziny 11 trafiali tam ranni. Było ich coraz więcej i pozostali tu na następne dni. Tu przynoszono zabitych. Budynek szpitala stał naprzeciwko gmachu UB. Dziś wygląda to inaczej, bo pomiędzy szpitalem a komendą wojewódzką policji na Kochanowskiego jest zabudowa, której wtedy nie było. Lekarze, pielęgniarki i chorzy przez okna widzieli, co się dzieje po drugiej stronie. Mało tego, gdy zaczęła się strzelanina, kule trafiały w szpitalne okna. Leciwały szyby. Słyszano detonacje. Podczas przejazdu czołgów wszystko w tym budynku wibrowało i drżało. Ludzie mogli się tam czuć jak w przyfrontowym, polowym szpitalu. W toku wydarzeń lekarze byli wzywani przez UB, aby przyjść do gmachu na Kochanowskiego i ratować postrzelonych po ich stronie. Po opanowaniu przez władzę sytuacji na mieście do szpitala przychodzili ubecy, którzy szukali wśród rannych tych, którzy mieli wcześniej strzelać do gmachu UB.

Dzień po Czarnym Czwartku szpital wizytował minister zdrowia, którego najbardziej raziły ściany poplamione krwią, a nie obchodził go los rannych ani brak leków. Tego samego dnia w pobliżu przebywał premier Cyrankiewicz, który wizytował UB i gratulował jego członkom walecznej postawy. Do szpitala w ogóle jednak nie zajrzał...

A co działo się ze szpitalnym personelem po 28 czerwca?

Kolejne dni i miesiące były bardzo trudne dla pielęgniarek, które ciągnano po komisariatach, przesłuchiowano. Kłopoty miał także jeden z lekarzy ratujący rannych – jego dalsza kariera została utrudniona. Podobnie było z jedną z pielęgniarek. Co ciekawe, to w tym szpitalu miały miejsce pierwsze próby upamiętnienia Czerwca. Przez pierwsze lata po tamtych wydarzeniach co roku w szpitalnej kaplicy odprawiano mszę za ofiary 28 czerwca. Czyniono to przed specjalnym ołtarzykiem, który przez resztę roku był ukrywany w gabinecie dyrektora. Opowiadała mi o tym ówczesna pielęgniarka, wspomniana już Aleksandra Banasiak. Szpital był więc ważnym świadkiem (i miejscem wydarzeń) poznańskiego Czerwca. To miejsce-mikrokosmos tamtego dnia i jego konsekwencji.

2. UB – poczucie dawnej siły

Proponujesz też inne perspektywy spojrzenia na Czarny Czwartek?

Tak. Opowiadam o Czerwcu '56 także w innym rozdziale – reportażu o widocznym w 1956 r. kresie wszechwładzy bezpieki. W tym roku dokonywały się poważne zmiany w aparacie przemocy. Zwalniano wielu ludzi, toczyły się procesy sądowe przeciw funkcjonariuszom UB. Był to jeden z pierwszych przejawów tzw. odwilży.

Jak to wyglądało na poznańskim podwórku UB?

Ten reportaż otwieram impresją o śmierci kaprała Zygmunta Izdebnego, również jednej z ofiar Czerwca '56. To była ofiara z tamtej strony. Prosty człowiek spod Rogoźna, który pracował w UB na Kochanowskiego jako wartownik. Trudno powiedzieć, czy był jakoś zaangażowany ideowo. Po prostu przyjeżdżał codziennie pociągiem, pobierał mundur KBW i karabin i pilnował wejścia do urzędu. Tak się nieszczęśliwie dla niego złożyło, że 28 czerwca przyjechał do Poznania około 12 i został rozpoznany na ulicy. Wtedy wszystkim rządziły plotki i pogłoski. Od razu mu przypięto łatkę, że jest mordercą matek i dzieci. Gonili go przez pół miasta. Dopadli na dworcu. Tłum go dosłownie zdeptał. Długo nie pozwolono karetce zabrać z peronu zlinczowanego człowieka. Trzy osoby z grona znęcających się zostały osądzone i skazane w październiku 1956 r. I były to jedyne osoby związane z poznańskim Czerwcem, na które wydano wyrok – i które odsiedziały go w więzieniu.

Wypadek jest znany, choć zawsze w związku z 28 czerwca tylko wzmiankowany. Na jakich źródłach opierałeś się w związku z wątkiem upadku UB?

Tak naprawdę źródła są tu bardzo skąpe. Jest zaledwie kilka relacji, wśród nich kluczowa – pułkownika Feliksa Dwojaka, który był kierownikiem UB w Poznaniu. Opisał na potrzeby ówczesnej sprawozdawczości tamte wydarzenia, widziane od środka. Póź-

niej, w latach 80., wydano to w formie książeczki o przyczynach poznańskiego buntu. Dwojak pisze na przykład o poznańskich nastrojach przed 28 czerwca 1956 r., powołując się na to, co jego żona słyszała w sklepowej kolejce o funkcjonariuszach Urzędu Bezpieczeństwa. To była silna nienawiść. Dziś nie jesteśmy chyba w stanie sobie tego wyobrazić. Ludzie czuli się gorsi, bo nie mieli dostępu do towarów i produktów, które bezpieczniecy mogli kupować w tzw. sklepach za frankami.

Pracownicy UB czuli, że ziemia usuwa im się spod nóg?

Z jednej strony w 1956 r. ludzie z UB (i w ogóle aparat bezpieczeństwa) tracili swoje wpływy. Przecież w tym czasie stanęło przed sądem kilku prominentnych przedstawicieli dawnego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Z drugiej strony w środku, w szeregach UB kumulowało się pewne napięcie. Brało się ono stąd, że wiele osób z kierowniczych stanowisk w urzędzie zwalniano i przesuwano – na stanowiska w różnych zakładach pracy. Osoby pracujące w tych placówkach dobrze wiedziały, skąd ci nowo zatrudnieni przychodzą. W tych zakładach często dochodziło do form ludowych, spontanicznych sądów nad byłymi ubekami, uniemożliwiającymi im podjęcie pracy. Ci, którzy zostali w UB, dobrze znali tę sytuację. Żyli w dużym stresie i chyba mieli potrzebę odreagowania.

28 czerwca mogli dać upust swojej frustracji?

Takie odnoszę wrażenie. W tym krótkim okresie na przełomie czerwca i lipca 1956 r. odzyskali poczucie dawnej siły, którą mieli w latach stalinowskich. Po prostu pozwolono im maltretować ludzi. Wystarczy przywołać to, co działo się po 28 czerwca z aresztowanymi mieszkańcami Poznania, osadzonymi w ośrodku filtrycyjnym na Ławicy. Według najnowszych ustaleń prokuratora poznańskiego IPN Mirosława Sławety przez ten punkt przewinęło się około tysiąca, tysiąca stu poznaniaków, z którymi obchodzono się po prostu jak z mięsem. Maltretowano ich podczas przesłuchań. Pisałem o tym między innymi w cyklu reportaży o Januszu

Kulasie [na łamach poznańskiego dodatku do „Gazety Wyborczej” 26-28 czerwca 2016 r. – J.B.], jednym ze spontanicznych przywódców poznańskich wydarzeń. Gdy już siedział w areszcie, miał pewnego dnia wizytę w celi. Przyszedł strażnik z UB i ugodził go nożem w brzuch. Rzeczy w ówczesnej Europie niewyobrażalne. To pokazuje, jak duże było znowu poczucie bezkarności wśród pracowników tych służb.

Jak wyglądała sytuacja безпеki po wyciszeniu poznańskiego protestu?

Jesienią 1956 r. przez moment może się wydawać, że UB znika z areny dziejów. Gomułka dochodzi przecież do władzy pod hasłem naprawienia krzywd, osądzenia winnych – bezpieczeniackich siepaczy. To był jednak tylko moment. Już późną jesienią oraz na przełomie 1956 i 1957 r. okazało się, że tych, których rzeczywiście skazano, jest niewiele. Kilka kluczowych nazwisk: Józef Różański, Anatol Fejgin, Roman Romkowski. Reszta pozostała bezkarna.

3. Długi cień jednego dnia

Czytając Twoje szkice o Czerwcu 1956 w tomie „Cztery twarze Prusaka. Historie wielkopolskie” (Poznań 2010) poświęcone Stanisławowi Matyi, Romkowi Strzałkowskiemu, wydarzeniom w Zakładzie Karnym w Mrowinie (pod Szamotułami), mecenasowi Stanisławowi Hejrowskiemu oraz Janowi Suwartowi, uświadomiłem sobie pewien fenomen. Otóż był to jeden dzień, który kładzie się cieniem na całych ich dalszych życiorysach. Wydaje mi się, że to był zarówno cień rzucany przez traumatyczne doświadczenie buntu i przelewu krwi, jak i cień przeżycia mimo wszystko budującego. Jakie były twoje wrażenia, gdy w kilka lat po napisaniu tamtych szkiców znów rozmawiałeś z tymi, którzy uczestniczyli w Czarnym Czwartku?

Może to zabrzmieć patetycznie, ale 28 czerwca 1956 r. ludzie poczuli się nagle wolni. Nagle! Była to chwilowa, ale niezwykle silna eksplozja wolności. I myślę, że główną rolę odegrali tutaj jednak robotnicy. Szczególnie z Cegielskiego, w którym bunt tlił się od

dobrych dwóch miesięcy. Jeździli przecież do Warszawy, do ministra i zabiegali o zmianę niesprawiedliwych, zawyżonych norm, o podwyżki wynagrodzeń. Z każdym dniem czuli się coraz bardziej ignorowani i niepotrzebni. Przed 28 czerwca właśnie w Cegielskim odbywały się masówki, na których ludzie coraz śmielej zabierali głos i pyskowali władzy. Zaczynali się czuć wspólnotą, a nie zbiorem pojedynczych, rozgoryczonych osób. Natomiast do dziś nie została wyjaśniona sprawa samej decyzji wyjścia na ulice i koordynacji związanych z tym działań.

Czy w ogóle cokolwiek wiemy na ten temat?

Wiadomo, że pracownicy różnych poznańskich zakładów kontaktowali się ze sobą, coś ustalali. Ciągle brakuje jednak dokładniejszego opisu wydarzeń z dni poprzedzających 28 czerwca. Sygnalizuje to w swojej relacji Dwojak, wspomniany oficer UB. Tajniacy wiedzieli, że Matyja i inni z Cegielskiego spotkają się na tzw. zielonej trawce z robotnikami Fabryki Maszyn Żniwnych, która znajdowała się na Starołęce, czy zatrudnionymi w ZNTK. Wszystko jest jednak bardzo zamglone. Ubecy mieli w tych fabrykach rozbudowane sieci konfidentów, tajnych współpracowników i dobrze wiedzieli o aktywności pracowników Cegielskiego – kto, gdzie i z kim chodził, naradzał się. Dziś nie wiemy o tym praktycznie nic. Trudno wyjaśnić dlaczego. Czy ubeckie materiały na ten temat zaginęły, czy świadomie je zniszczono? W każdym razie to robotnicy z Cegielskiego pierwsi pokazali, że można zamanifestować swoje niezadowolenie i niezgodę.

Zaraźliwy przykład...

No tak. Bo gdy 28 czerwca robotnicy Cegielskiego wyszli na ulicę, a potem dołączyli do nich kolejni z ZNTK, Wiepofamy i z innych zakładów, to w zwykłych mieszkańcach Poznania puściły jakieś hamulce, gdy widzieli tłumy na ulicach. Z pewnością był to efekt dłuższego procesu, trwającego od przełomu 1955 i 1956 r., a szczególnie od chwili śmierci Bolesława Bieruta w Moskwie (12 marca 1956). Ludzie musieli to zauważyć i poczuć, że władza nie będzie

już tak trzymać za pysk jak dotąd. Gdy więc zobaczyli tysiące robotników na mieście w tamten czwartek, to już wiedzieli, co trzeba robić. Potwierdza to historia Janusza Kulasa, o którym ostatnio pisałem. No bo co można by o nim powiedzieć, gdyby nie Czerwiec?

Jak to co? Przecież facet stał się bohaterem amerykańskich relacji prasowych z poznańskiego Czerwca...

Tak, ale przed Czerwcem był jednak kimś prostym, z mało chlubną przeszłością. Kierowca, który dorabiał sobie jako konik, handlujący biletami do kina. Miał nawet epizod z wymiarem sprawiedliwości – odsiedział pewien okres w zakładzie poprawczym. W sumie był kandydatem na postać niezbyt pozytywną. A 28 czerwca 1956 r. dostał skrzydeł. Widocznie i on, jak wszyscy tego dnia protestujący, czuł się w tym systemie stalinowskim kimś gorszym. Dołączył do demonstrantów. Był niezwykle aktywny. Podobnie działo się z wieloma innymi, którzy spontanicznie dołączyli do manifestantów. To z jednej strony obraz budujący, z drugiej sytuacja bardzo niebezpieczna.

Dlaczego?

Każdy z nich mógł przecież zginąć i często mogła to być śmierć nie do końca – powiedzmy – świadoma. Podobna do tej, którą poniósł Romek Strzałkowski, który był – wszystko na to wskazuje – jednak przypadkowym uczestnikiem zdarzeń na Kochanowskiego i nie szukał tam bohaterskiej śmierci od ubeckiej kuli. Takich nie do końca świadomych ofiar poznańskiego buntu było więcej. Pisał o tym Łukasz Jastrząb z Biblioteki Kórnickiej w swoich książkach o ofiarach Czerwca (*Poznański Czerwiec 1956 r. – straty osobowe i ich analiza*, Poznań 2005; *„Rozstrzelano moje serce w Poznaniu”*. *Poznański Czerwiec 1956 r. – straty osobowe i ich analiza*, Warszawa 2006; *Biogramy ofiar Poznańskiego Czerwca 1956 r.*, Warszawa 2007). I został zaatakowany za stwierdzenie, że większość ofiar Czerwca to osoby przypadkowe. Po prostu ktoś szedł do pracy, ktoś z niej wracał, ktoś się przyłączył, a kule przelatowały i zabijały albo raniły

na chybił trafił. Jest to o tyle prawda, że spośród tych, którzy brali aktywny udział w walkach z UB, z bronią w ręku zginęło niewielu. Wśród zabitych dominują ci, których można by nazwać ludnością cywilną. Co ciekawe, o ile się nie mylę, wśród ofiar śmiertelnych nie było kobiet.

Na co to mogłoby wskazywać?

Na charakter tych zajęć. Gdy słyhać strzały, gdy leje się krew, kobiet nie ma na pierwszej linii – poza pojedynczymi pielęgniarzkami, oczywiście. Nagle mamy logikę sytuacji frontowej: do walki stają przede wszystkim mężczyźni. Myślę, że zarzuty stawiane Jastrzębowi były krzywdzące. On zauważył coś, co oczywiście miało wówczas miejsce – w Poznaniu ginęli przede wszystkim ci, którzy spontanicznie, często przypadkowo dołączyli do protestu.

Przypomina mi się w tym momencie wypowiedź jednego z głównych bohaterów filmu Filipa Bajona „Poznań ’56” (z roku 1996), robotnika, spontanicznego uczestnika wydarzeń, który z perspektywy czasu wyznaje, że to był najważniejszy dzień w jego życiu i właściwie po nim już nic istotnego się nie wydarzyło. A czy był to wyjątkowy dzień w biografjach poznańskich inteligentów?

Tu można by przywołać epizod z filmu, o którym mówisz. Występują w nim profesorowie, którzy wybrali się tego dnia pociągiem do Poznania i tkwią w wagonie skierowanym na bocznice. Otóż ci reprezentanci inteligencji bardziej się domyślają, niż rozumieją, co się dzieje na mieście. Poznańska inteligencja nie miała świadomości tego, co się dzieje tego dnia na ulicach. Nie jestem zawodowym historykiem i badaczem Czerwca ’56, ale w pracy dziennikarskiej nad tym wydarzeniem nie zetknąłem się z przypadkami udziału w proteście ludzi nauki, pisarzy czy innych reprezentantów inteligencji. Oczywiście oni również, jak inni mieszkańcy, przeżyli mocno to, co się działo, i w takiej czy innej formie zetknęli się z wydarzeniami na ulicach. W swej masie był to jednak bunt robotniczy, inteligencja jako środowisko w nim nie zaistniała. A bunt

ten był niezwykle ważnym faktem w najnowszej historii Poznania. Nie przypadkiem przez następne długie lata nie odnotowano w Poznaniu istotnych form działania, charakterystycznych dla antykomunistycznej opozycji. 28 czerwca 1956 r. był zbyt poważnym i ciężkim doświadczeniem i został po nim lęk wielu mieszkańców przed powtórką.

Czy pod wpływem tego lęku doszło do jakiejś zbiorowej amnezji?

Nie! Znane są fakty, które mącą takie ostre rozróżnienie – wielkie i krwawe wydarzenie z Czerwca '56, a potem zupełna cisza. Na przykład wiele wskazuje na to, że w pierwszą rocznicę tamtych wydarzeń ludzie byli skłonni ponownie wyjść na ulice Poznania. Przynajmniej robotnicy z Cegielskiego mieli planować powtórne przejście z Wildy na plac Mickiewicza (już nie Stalina) i przypomnieć o wydarzeniach sprzed roku. Wiemy także, że gdy po Czerwcu '56 Matyja siedział w więzieniu, robotnicy z Ceglorza odgrążali się UB, że przyjdą po niego. Nie zmienia to jednak faktu, iż do czasów pierwszej Solidarności Poznań nie był w czołówce polskich ośrodków opozycyjnych. Choć oczywiście trudno to zmierzyć.

Poczerwcowe życiorysy takich osób jak Matyja, Suwart, Kulas są naznaczone jakąś straszną szarością...

Widać „zjazd” w ich biografiach i jest to skutek ówczesnego systemu, który po prostu ludzi tłamsił. Matyję zwolniono z pracy, inwigilowano, utrudniano mu życie na wszelkie możliwe sposoby. I pewnie za to zapłacił kolejnymi zawałami serca. Kulas musiał nawet na pewien czas opuścić Poznań, bo przez władze był tu nie mile widziany. Gdy wrócił, spotykał się z szykanami. Piotr Grzelczak, autor właśnie wydanej monografii (*Poznański Czerwiec 1956. Walka o pamięć w latach 1956-1989*), dotarł do bardzo ciekawych ankiet z lat 60. Ich autorami byli pracownicy ówczesnej już Służby Bezpieczeństwa. Dotyczyły uczestników poznańskiego Czerwca, ale przeprowadzono je wśród osób należących do otoczenia ankietowanych, czyli *de facto* inwigilowanych. Pod przykrywką

badania socjologicznych sprawdzano aktywność tych ludzi. I na przykład z ankiet Kulasa wynika, że tajniacy wszystko dokładnie o nim wiedzieli. Gdzie pracuje, jak wypowiada się o panującym ustroju, o czym myśli. Kiedy w grudniu 1970 r. na Wybrzeżu protestowali stocznioowcy, SB wpadła do mieszkania Kulasa przy Grobli, żeby sprawdzić, czy aby na pewno jest w domu, a nie wśród strajkujących, lub czy nie przygotowuje czegoś podobnego w Poznaniu. Inwigilacja, mimo końca epoki stalinowskiej, trwała nadal. Prowadzona być może bardziej subtelnymi metodami, ale trwała. Widać to po biografii obrońcy uczestników poznańskiego Czerwca – mecenasa Hejmowskiego. Władza po prostu go zniszczyła.

W jaki sposób?

Nigdy nie puściła go do Szwecji, gdzie mieszkała jego pierwsza żona. Śledziła go, nasyłała na niego rozmaite kontrole. To na pewno miało wpływ na jego przedwczesną śmierć. Podobnie było z innymi adwokatami, którzy bronili uczestników Czerwca. Władza wzięła tych ludzi pod lupę i co jakiś czas im przypominała: „Słuchajcie, mamy na was oko, uważajcie, starajcie się...”. Jeśli ponadto przypomnimy, że wielu uczestników tamtych wydarzeń było później brutalnie przesłuchiwanym – w śledztwie bito zarówno Kulasa, jak i Matyję – stanie się jasne, że ci ludzie potem po prostu się bali i nie myśleli o powtórce Czerwca '56. Poza tym wielu z nich z pewnością doceniało, że jesienią 1956 r. zaczęły się w Polsce zmiany, choć szybko musieli się zorientować, że były chwilowe i powierzchowne. Przecież Matyja zgłaszał później w rozmowach z Gomułką różne pretensje, widząc, że nowy pierwszy sekretarz odchodzi powoli od złożonych obietnic.

Co na to towarzyszu „Wiesław”?

Był taki niezwykle moment, kiedy podczas wizyty Gomułki w Cegielskim w 1957 r. Matyja podszedł do niego po spotkaniu z robotnikami i zapytał: „Towarzyszu Pierwszy Sekretarzu, co mam zrobić? Przychodzą do mnie i stale mnie nagabują pracow-

nicy Służby Bezpieczeństwa”. Tak rzeczywiście było. Próbowano go w latach 1957-1958 zwerbować, bo podobno wcześniej w jakiś sposób (szczegółów nie znamy) z nimi współpracował. Gomulka odpowiedział: „Jak jeszcze raz do Pana przyjdą, to niech ich Pan wyrzuci za drzwi”. Oto cała rada pierwszego sekretarza! Bezcelność. Przecież doskonale wiedział, że taką reakcją Matyja nic nie wskóra. Widać wyraźnie, że pierwszy sekretarz miał w głębokim poważaniu to, co się dzieje na zapleczu.

Wróćmy jeszcze do Hejmowskiego. Czy nie było tak, że jego mowy podczas październikowych procesów w poznańskiej sali sądowej przy Al. Marcinkowskiego pokazały poznaniakom sens tego wszystkiego, co wydarzyło się w ich mieście kilka miesięcy wcześniej? Potem, przez dwadzieścia pięć lat nikt im tego już tak nie pokazał.

Radiowe transmisje z sali sądowej cieszyły się olbrzymią popularnością. Ludzie oczekiwali potwierdzenia, że w Czerwcu mieli rację. Pamiętajmy, że następne miesiące, lipiec, sierpień..., były okresem zmasowanej propagandy, sugerującej, że za poznańskimi wydarzeniami stali zachodni imperializm i agenci, którzy wykorzystali broń, przywiezioną rzekomo w skrzyniach na Międzynarodowe Targi Poznańskie (swoją drogą warto, żeby ktoś kiedyś opisał i zbadał strategię i hasła ówczesnej propagandy). W tej sytuacji mieszkańcy Poznania potrzebowali jakiegoś sygnału, że 28 czerwca miał swój głęboki sens, że po prostu trzeba było to zrobić. I tu dużą rolę odegrały wystąpienia Hejmowskiego oraz innych odważnych adwokatów – Gerarda Kujanka, Michała Grzegorzewicza (to on na sali rozpraw pokazał zakrwawioną koszulkę Romka Strzałkowskiego, co wszystkich bardzo poruszyło). Myślę, że nie przesadzę, jeśli powiem, że te mowy stały się dla ludzi wykładnią czerwcowego buntu. Poznaniacy przyjmowali za swoje argumenty i wywody adwokatów. Hejmowski potrafił wygłaszać sugestywne, przejmujące mowy, w które wplatał także wiersze polskich poetów. Wygląda to tak, jakby inteligencja, która z różnych powodów nie włączyła się w wydarzenia Czerwca, spłacała podczas tych procesów swój społeczny dług, stając w obronie prostych robotników.

4. Czerwiec okiem zachodniego dziennikarza

Jesienią 2016 ukaże się Twoja powieść o poznańskim Czerwcu...

Tak. Wygrała ona w konkursie zorganizowanym przez Wydawnictwo Miejskie Poznania i prywatnego sponsora (Voyager Club) na powieść o Poznaniu.

Jaki ma tytuł?

Juni, a to dlatego, że głównym bohaterem jest niemiecki dziennikarz, który w czerwcu 1956 r. przyjeżdża na Międzynarodowe Targi Poznańskie. Fabuła rozgrywa się w ciągu kilku czerwcowych dni.

Skąd pomysł z zagranicznym dziennikarzem?

O Czerwcu '56 napisano już wiele. Szukałem czegoś nowego. Wybór padł na wątek obecności w Poznaniu 28 czerwca 1956 r. zachodnich dziennikarzy, którzy obserwowali poznańskie Targi. To oni pierwsi poinformowali Zachód o tym, co wydarzyło się tego dnia w mieście. Pomyślałem sobie, że opowieść z perspektywy przybysza zza żelaznej kurtyny może być ciekawa, w jakiś sposób ożywcza. Nie chciałem jednak ograniczać fabuły do samego protestu. W powieści jest więc drugie i trzecie dno, pewna tajemnica.

Kim jest i z których Niemiec przybywa ten dziennikarz?

Jest to młody człowiek, reprezentujący zachodniobierlińskie (choć wtedy jeszcze oficjalnie nie było nazwy Berlin Zachodni) czasopismo „Der Telegraph”. Przyjechał tutaj nie tylko na Targi. Ma do spełnienia pewną misję. Opowieść przenosi nas także do Poznania z czasów wojny. Powoli wyjaśnia się fabularna tajemnica, a dzieje się to na tle tragicznych wydarzeń z 28 czerwca. Dodam, że część akcji umieściłem również w szpitalu, o którym rozmawialiśmy. Trafia tutaj mój bohater i widzi bezpośrednie skutki krwawo stłumionego protestu.

Jeśli przypomnimy, że dwa lata temu ukazała się Twoja powieść „Ściema”, to okaże się, że masz już na koncie dwie książki, których głównymi bohaterami są dziennikarze. W „Ściemie” Patryk Chromy zajmuje się między innymi tajemnicą tragicznej śmierci poznańskiego chłopaka w stanie wojennym. Co Cię ciągnie w stronę literackich obrazów świata dziennikarskiego? Chyba jednak nie Twój zawód, bo, owszem, piszesz od lat dla poznańskiej „Wyborczej”, ale, o ile wiem, nigdy nie zajmowałeś się dziennikarstwem śledczym...

Nie do końca. Zdarzały mi się drobne śledztwa historyczne, raz udało mi się odnaleźć – z pomocą strażaków – dawną sowiecką gwiazdę z czerwonego szkła, która w latach PRL-u świeciła nad Cytadelą, a zniknęła w tajemniczych okolicznościach jesienią 1989 r., gdy wiał wiatr zmian. Dziś jest jednym z eksponatów Muzeum Historii Miasta Poznania w Ratuszu.

Pisząc *Juni*, musiałem bardzo uważać, aby nie wyposażać mojego bohatera we współczesne metody pracy dziennikarskiej. Trzeba było dbać o to, aby zachować realia uprawiania tego zawodu w roku 1956. Przecież dziennikarz w tamtych czasach musiał pamiętać, że gdy zbiera materiały oraz nadaje swoje komunikaty w komunistycznym państwie, to jest podsłuchiwany, śledzony. I bohater *Juni* od początku pobytu w Poznaniu zdaje sobie sprawę, że ma „ogon” i musi go zgubić. Poza tym czerpałem satysfakcję z tego, że w toku pisania mogłem odwoływać się także do własnych doświadczeń zawodowych.

5. Historia w reportersko-dziennikarskim tyglu

Swoją drogą to ciekawe, że polscy dziennikarze coraz częściej opowiadają naszą najnowszą historię w autorskich książkach i że robią to – może przesadzam, ale tak to widzę – w sposób o wiele bardziej sugestywny i atrakcyjny (z punktu widzenia czytelnika) niż zawodowi historycy.

Dziennikarz, nie tylko zresztą śledczy, dociera do takich źródeł, do opowieści konkretnych osób (uczestników, świadków wydarzeń), z którymi profesjonalny historyk nie zawsze ma szansę kon-

taktu. Dla tego ostatniego pierwszorzędną wartość mają źródła pisane. Relacje uczestników i świadków też bierze pod uwagę, ale dokument ma tutaj pierwszeństwo. Z kolei dziennikarz bardzo szybko uczy się – jest do tego zmuszony – docierać do rozmaitych osób i wydobywać z nich relacje i informacje, których historyk, być może, nie potrafiłby pozyskać. Może przesadzam, ale wydaje mi się, że praca zawodowego historyka przypomina postępowanie prokuratora. Obaj operują pewnym zasobem pojęć i repertuarem pytań, które pozwalają im docierać do istotnych z ich punktu widzenia faktów. Natomiast dziennikarz spogląda na daną sprawę szerzej. A przy tym często nawet zaprzyjaźnia się ze swoim źródłem, co powoduje, że ów „przesłuchiwany” potrafi się naprawdę otworzyć. Pojawia się wtedy szansa, że rozmówca „sprzeda” taką informację, która w innych warunkach (na przykład w toku rozmowy historyka ze świadkiem jakichś wydarzeń z przeszłości) nie ujrzałaby światła dziennego. Mogę też powiedzieć, że w pracy dziennikarza bardzo ważne są cierpliwość i doświadczenie, których nabywa się z wiekiem i rosnącym stażem zawodowym. Mam już swoje lata i wydaje mi się, że młodzi dziennikarze niejednokrotnie nie potrafią poświęcić danemu tematowi odpowiedniej ilości czasu. Wiadomo, goni ich *deadline*. Czasem warto jednak poświęcić komuś drugiemu znacznie więcej czasu, niż pozwalają na to okoliczności albo nasza aktualna kondycja. Twierdzę, że relacja dziennikarza z drugą osobą, która jest jego źródłem, często jest o wiele bardziej bezpośrednia aniżeli w innych tego typu kontaktach – na przykład uczonych ze świadkami czy uczestnikami minionych zdarzeń.

W reportażach historycznych nie zawsze masz jednak możliwość kontaktu z żywymi osobami i jesteś skazany na źródła pisane. A jesteś przecież z wykształcenia historykiem...

Zdecydowanie wolę jednak kontakt z żywym człowiekiem. Lata pracy w redakcji robią swoje i dziś bardziej czuję się dziennikarzem niż pracownikiem naukowym czy quasi-naukowym. Żywy uczestnik jest lepszy nie tylko dlatego, że niejednokrotnie weryfikuje to, co wiadomo ze źródeł pisanych. To jest po pro-

stu potencjalny bohater opowieści. Na tym polega przewaga reportażu nad tekstem naukowym, że są w nim emocje, mimika, zachowania żywego człowieka. Moje teksty są swego rodzaju kompilacją, zestawieniem wiedzy ze źródeł pisanych i opowieści konkretnych ludzi. Gdy piszę o przeszłości, wychodzę jednak od dokumentów czy opracowań. Tak było również ostatnio, gdy pisałem o Kulasie.

Jak przygotowywałeś się do tego tekstu?

To nie było nic oryginalnego – szukałem choćby najdrobniejszych wzmianek na jego temat. I byłem zdumiony, jak niewiele o nim napisano. Z jednej strony była to korzystna okoliczność – miałem bowiem świadomość, że piszę o nim jako jeden z pierwszych. Z drugiej strony byłem negatywnie zaskoczony, że w tak dużym mieście jak Poznań przez ponad pół wieku tak niewiele powiedziano o tym człowieku. Podobnie było przed laty, gdy jako jeden z pierwszych pisałem o losach mecenasa Hejmowskiego, a jako bodaj pierwszy o biografii Matyi. To smutne, że Poznań często (choć nie zawsze) zapomina o swoich bohaterach.

A co przed Tobą napisano o Kulasie?

Niewiele. Był znany jako uczestnik jesiennego procesu w 1956 r. Wiedzano, że rozbrajał komisariat na Junikowie. Za to był sądzony. Gdy wczytałem się w jego zeznania i zacząłem rozmawiać ze świadkami wydarzeń, okazało się, że był niezwykle aktywny tego dnia. Opanował jeden lub dwa czołgi. Przenosił broń z więzienia na Młyńskiej pod budynki UB na Kochanowskiego. Z godziny na godzinę stawał się jedną z czołowych postaci buntu. Podobnie było zresztą z Janem Suwarterem, który znienacka znalazł się w samym centrum wydarzeń, pod siedzibą UB.

W którym jeszcze niedawno pracował jego ojciec...

Suwart też był kierowcą, do protestu przystąpił przypadkiem. I również stał się jego aktywnym uczestnikiem. W przypadku

obu tych bohaterów kwerendy archiwalne pozwoliły jedynie na stworzenie wątlých szkieleców. To dopiero spotkania i rozmowy z ludźmi tchnęły w obie postaci życie. Bardzo się ucieszyłem, gdy się okazało, że żyje jeszcze żona Kulasa. Okazała się bezcennym źródłem. Cenne okazało się także odnalezienie relacji Ludwika Ratajczaka, który zetknął się z Kulasem po Czerwcu i opisał stan jego umysłu już po wszystkim. Swoją wartość miały też drobne szkice do portretu Kulasa, pochodzące od osób, które spotykały się z nim przed i po 1956 r. Często widywały go tylko w przelocie, ale pozostał w ich pamięci.

Masz poczucie, że stworzyłeś w miarę kompletny portret Kulasa?

Nie mam. Nie wiem wszystkiego. Na tym polega różnica między pracą reportera i zawodowego historyka. Dziennikarz może rzucić pewne pytania, coś zasygnalizować, zaproponować rekonstrukcję czyjejś biografii albo wydarzenia, nie przesądzając, że tak było na pewno. Historyk musi stawiać tezy i je udowadniać. Dziennikarz może domniemywać.

Kiedy uciekałeś się do takiego chwytu?

Na przykład w związku z Matyją. Do dziś nie wiadomo, dlaczego uwikłał się po wojnie w jakąś formę współpracy z UB, co potem, po Czerwcu służby wykorzystywały przeciw niemu. Przypuszczalnie było tak, że padł ofiarą szantażu i dlatego przez pewien czas współpracował z nimi. Wydedukować to można z dokumentów, poświadczających próbę ponownego werbunku Matyi w 1957 r. Gdy tajniacy powoływali się wówczas na wcześniejszą współpracę z Matyją, odpowiedział im wprost: „To był szantaż”. Przypuszczam, że tajniacy wykorzystali jakieś fakty z historii jego rodziny, wiadomo bowiem, że w czasie wojny jego rodzice podpisali volkslistę, co po 1945 r. bardzo mocno stygmatyzowało – i pewnie ten fakt wykorzystano do szantażu. Jako dziennikarz mogę wysunąć takie przypuszczenia, historyk raczej tego zrobić nie może.

Masz już na warsztacie albo w sferze pomysłów kolejne reportaże albo powieści o historii Poznania, Wielkopolski? Pojawili się nowi kandydaci na bohaterów opowieści?

Pomysłów mi nie brakuje, gorzej jest z wolnym czasem do pisania. Właśnie siedzę wieczorami nad powieścią pod roboczym tytułem *Biegacz*. Rozgrywa się współcześnie, w 2016 r., ale ... w tle znajduje się tajemnica z przeszłości. Mroczna, oczywiście. Więcej nie zdradzę, żeby nie zapeszać!

Poznań, 26 lipca 2016 r.

Jerzy Borowczyk

Suddenly they felt free. A conversation with Piotr Bojarski, author of Poznań crime novels, essays and novels on the Poznań 1956 protests

An interview with Piotr Bojarski, author of historical non-fiction and novels about Poznań 1956 protests, focusing on a few topics. The attitudes and fortunes of doctors, paramedics, security officers, heroic protesters of the Black Thursday, lawyers who defended the protesters – all this allows us to look at a single day in Polish history through a few prisms. Additionally, the interview contains remarks on the benefits of a reporter's look at history, and the attempts at novelistic emplotment of the events of 1956.

Keywords: Poznań doctors and paramedics during the 1956 protests; Security Office/Security Service in Polish People's Republic; lives of the heroes of Poznań 1956 protests; Poznań lawyers and the 1956 protests; remembrance of Poznań 1956 protests; recent Polish history in the eyes of press reporters; novel about Poznań 1956 protests.

Piotr Bojarski – polski dziennikarz i pisarz. Absolwent Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, pracuje jako dziennikarz poznańskiego oddziału „Gazety Wyborczej”, zainteresowany w szczególności tematyką historyczną i polityczną. Autor „poznańskich” powieści kryminalnych i powieści o poznańskim Czerwcu.

Jerzy Borowczyk – historyk literatury, pracownik Instytutu Filologii Polskiej UAM. Zajmuje się romantyzmem, któremu poświęcił dwie książki: *Rekonstrukcja procesu filomatów i filaretów 1823-1824* (2003), *Zesłane pokolenie. Filomaci w Rosji 1824-1870* (2014). Wspólnie z Michałem Larkiem nagrali i zapisali tomy wywiadów z pisarzami, reporterami i politykami (*Punkty zapalne*, 2016) oraz ułożyli antologię polskiej liryki nowoczesnej (*Powiedzieć to inaczej*, 2011). Wraz z Zofią Dambek-Giallelis i Elżbietą Lijewską wydał przewodnik literacki *Na tropach Adama Mickiewicza w Wielkopolsce* (2013), z Wojciechem Hamerskim ułożył książkę *Co piłka robi z człowiekiem? Młodość, futbol i literatura – antologia* (2012).

